

POLSKIE TOWARZYSTWO HISTORYCZNE
ODDZIAŁ W BIAŁYMSTOKU

BIULETYN HISTORII POGRANICZA

Nr 8

W numerze m.in.: S. Meller – Polska a Rosja (XX/XXI w.), A. Krawcewicz – Relacje Białoruś – WKL w polskiej historiografii, D. Staliunas – Problem nauczycieli i szkół elementarnych dla Żydów w polityce Rosji w poł. XIX w., V. Stravinskiene – Repatriacja w l. 1956–1959 z Litwy do Polski, W. Jabłoński – Wspomnienia deportowanego do Kazachstanu w 1952 r., O Kongresie w Krakowie piszą A. Krawcewicz, V. Vareikis, G. Matwiejew



Białystok 2007

CONTENTS

Stefan Meller , <i>Poland and Russia at the turn of the 20th and 21st centuries</i> .	5
--	---

Articles

Aleksander Krawcewicz, <i>The relations between Belarus and the Grand Duchy of Lithuania in Polish historiography</i>	17
Darius Staliunas, <i>Who should Teach Inovertsy? The Problem of Teachers for Jewish Schools in the Russian Imperial Policy in the mid – 19 Century</i>	23
Vitalija Stravinskiene, <i>Repatriation from Lithuania to Poland in 1956–1959 – a statistical outline</i>	41

Autoreports

Volha Koval, <i>Periodicals of the Belarusian diaspora as a source of the national history (1939–1960)</i>	59
--	----

Sources and materials

Walenty Jabłoński, <i>Post-war fates of the borderlanders from the Grodno district (elaborated by T. Danilecki)</i>	67
Mieczysław Pożarski, <i>My way to Poland (elaborated by R. Gieszczyńska)</i> ...	83
Ołena Bundak, <i>The fate of Jews in Volhynia in the first years of the war (on the basis of materials from the State Archives of the Volhynian district)</i>	99
Jan Jerzy Milewski, <i>The Parliaments of Poland and Lithuania on the Constitution of the 3rd May 1791 on the 216th anniversary of its being passed</i>	107
Jan Jerzy Milewski, <i>Ichhak Levin's speech by the memorial at Jedwabne on the 10th July 2007</i>	111

Critical essays, reviews and notes	115
---	-----

Scientific Chronicle	153
-----------------------------	-----

In memoriam	193
--------------------	-----

SPIS TREŚCI

Stefan Meller, <i>Polska a Rosja na przełomie XX i XXI wieku</i>	5
--	---

Artykuły

Aleksander Krawcewicz, <i>Relacje Białoruś – Wielkie Księstwo Litewskie w polskiej historiografii</i>	17
Darius Staliunas, <i>Kto powinien uczyć „innowierców”? Problem nauczycieli i szkół elementarnych dla Żydów w imperialnej polityce Rosji w połowie XIX wieku</i>	23
Vitalija Stravinskienė, <i>Repatriacja w latach 1956–1959 z Litwy do Polski – zarys statystyczny</i>	41

Autoreferaty

Wolga Kowal, <i>Czasopisma diaspory białoruskiej jako źródło do historii ojczystej (1939–1960)</i>	59
--	----

Źródła i materiały

Walenty Jabłoński, <i>Powojenne losy Kresowiaków z Ziemi Grodzieńskiej</i> (oprac. T. Danilecki)	67
✓ Mieczysław Pożarski, <i>Moja droga do Polski</i> (oprac. R. Gieszczyńska)	83
Ołena Bundak, <i>Los Żydów na Wołyniu w pierwszych latach wojny</i> (na podstawie materiałów z Państwowego Archiwum Obwodu Wołyńskiego)	99
Jan Jerzy Milewski, <i>Parlamenty Polski i Litwy o Konstytucji 3 Maja 1791 roku w 216. rocznicę jej uchwalenia</i>	107
Jan Jerzy Milewski, <i>Przemówienie Icchaka Levina pod pomnikiem w Jedwabnem w dniu 10 lipca 2007 roku</i>	111

Artykuły recenzyjne, recenzje i zapiski

Józef Maroszek, Arkadiusz Studniarek, <i>Dzieje Trzciannego i obszaru gminy Trzcianne w XV–XX wieku</i> (P. Sobieszczak)	115
Mariola Jarczykova, <i>„Papirowe materie” Piotra Kochlewskiego. O działalności pisarskiej sekretarza Radziwiłłów birżańskich w pierwszej połowie XVII wieku</i> (E. Bagińska)	120

Stanisław Dumin, <i>Herbarz rodzin tatarskich Wielkiego Księstwa Litewskiego</i> (A. Konopacki)	124
<i>Gistoryja Bielarusi kanca XVIII – paczatku XX st. u dakumentach i materyjalach.</i> <i>Chrestanatyja. Wybór i naukowa red. A. F. Smalianczuk (A. Dobroński)</i>	125
Henryka Ilgiewicz, <i>Wileńskie towarzystwa i instytucje naukowe w XIX wieku</i> (J. Snopko)	128
<i>Mykolas Römeris, Dienoraštis: 1918 m. birželio 13-oji – 1919 m. birželio 20-oji.</i> (J. J. Milewski)	131
Dariusz Fabisz, <i>General Lucjan Żeligowski (1865–1947). Działalność wojskowa</i> <i>i polityczna</i> (R. Miknys)	132
Stasys Antanas Bačkis, <i>Lietuvos ir Šventojo Sosto konkordatas</i> (A. Katilius)	133
Halina Grubowska, <i>Haneczko, musisz przeżyć</i> (E. Rogalewska)	134
Anatol F. Wialiki, <i>Na razdarozży. Bielarusy i paliaki u czas pierasialewnia</i> (1944–1946 gg.) (J. J. Milewski)	138
Zapiski	142

Kronika naukowa

Obrona dysertacji Aleksandra Paszkiewicza (A. Smalianczuk)	153
„II wojna światowa w pamięci mieszkańców Litwy, Białorusi, Polski” (J. J. Milewski)	154
„Źródła do dziejów Judenratów w okupowanej Polsce” (A. Dobroński)	156
Trójgłos o I Kongresie Zagranicznych Badaczy Dziejów Polski (A. Krawcewicz, V. Vareikis, G. Matwiejew)	158
Instytut Badań Historycznych Białorusi (A. Smalianczuk)	165
„Pierwszy rok władzy sowieckiej na Białorusi, Litwie i w Polsce” (W. F. Wilczewski)	166
„Exodus – deportacje i migracje (wątek wschodni). Stan i perspektywy badań” (M. Zwolski)	168
„Zbrodniarze i ofiary. Pamięć o tragedii II wojny światowej” (W. Nikitenkow)	173
„Stosunki polsko-radzieckie/rosyjskie w XX wieku” (J. J. Milewski)	174
„Śladami unii brzeskiej” (P. Czyżewski)	175
„Jednostka w historii: bohaterstwo i tragiczność” (J. J. Milewski)	178
„Hromada – mity i rzeczywistość. Sytuacja społeczno-polityczna na ziemiach biało- ruskich w latach 20. XX wieku” (M. Ocytko)	180
„Kontynuacja i przełom w warunkach zmieniających się okupacji. Stosunki między- etniczne w Białymstoku i Wilnie 1939–1941–1944/1945” (M. Białous)	181
Sprawozdanie z działalności Oddziału PTH w Białymstoku za okres maj 2004 – grudzień 2007 (C. Kukło)	183
Wykaz prac doktorskich z historii obronionych w Republice Litwy w roku 2006 (D. Šlapšinskienė)	187
Spisy treści: „Lietuvos istorijos metraštis” 2006 metai 1; „Lietuvos istorijos metraštis” 2006 metai 2; „Lithuanian Historical Studies” Vol. 11: 2007	189

In memoriam

Anna Wasiliewna Terebuń (6 IV 1948 – 10 III 2007) (A. Karapuzowa)	193
Henryk Ruciński (3 VII 1938 – 12 X 2007) (C. Kukło)	195
W 70 lat od urodzin historyka Michasia Bicza (1937–1999) (A. Smalianczuk)	201

MIECZYŚLAW POŻARSKI

MOJA DROGA DO POLSKI

Wraz z agresją ZSRR 17 września 1939 r. na Polskę dramatycznie zmieniły się losy ludności polskiej zamieszkującej Kresy Wschodnie. Represje dotknęły wszystkie warstwy społeczeństwa. W 1940 r. rozpoczęły się masowe deportacje ludności polskiej na Syberię, do Kazachstanu i dalekiej Północy ZSRR. Straszliwe warunki klimatyczne, niewolnicza praca, głód i choroby powodowały, że wielu z nich pozostało tam na zawsze. Zawarcie układu Sikorski–Majski dało możliwość opuszczenia miejsca zesłania. Tysiące wygłodzonych i schorowanych Polaków nie zważając na trudności, ruszyło aby wstąpić do tworzącej się Armii Polskiej, za nimi pociągnęły rodziny, którym następnie w większości udało się opuścić Związek Radziecki. Olbrzymie rzesze ludności polskiej, przede wszystkim kobiet, dzieci, w tym wiele sierot znalazły się wkrótce na Bliskim i Środkowym Wschodzie, a następnie w Indiach, Afryce, Meksyku i Nowej Zelandii. W powstałych tam osiedlach działały szkoły, teatry, kluby sportowe, wychodziły gazety. Koniec wojny oznaczał dla polskich uchodźców konieczność dokonania trudnego wyboru: wracać do Polski czy pozostać na emigracji. Większość pochodziła przecież z Kresów Wschodnich, które znalazły się w granicach ZSRR, tak więc powrót do domu byłby szczególnie niebezpieczny.

Te wszystkie wydarzenia i trudne wybory stanęły również przed autorem prezentowanych wspomnień. Mieczysław Pożarski, syn Józefa i Stefanii urodził się 25 sierpnia 1939 r. w Żytorudziu – dzielnicy Wołkowyska, wówczas powiatowego miasta w woj. białostockim, obecnie znajdującego się na Białorusi. 10 lutego 1940 r. wraz z rodziną został wywieziony do Małych Izb w rejonie Plesieck na północy ZSRR. Przebywał tam do września 1941 r., skąd wraz z innymi zesłańcami wyruszył do Uzbekistanu, gdzie formowały się polskie jednostki wojskowe. W Kermi-no koło Bucharu został przyjęty do szkoły junaków, których następnie ewakuowano do Persji, a później do Afryki. W polskich osiedlach dla uchodźców odnalazł swoją siostrę i matkę, jednakże jego pozostałe rodzeństwo zmarło z chorób i wycieńczenia. Przebywał w obozie w Oudtshoorn (RPA) i największym – Tengeru w Tanganice. Odnaleziony przez ojca wyjechał do Polski w 1948 r. Od maja 1948 r. zamieszkał na Warmii i Mazurach. Swoją działalność zawodową związał ze sportem i turystyką.

Działał również w wielu instytucjach i organizacjach społecznych. Za wieloletnią pracę i działalność społeczną został odznaczony Krzyżem Oficerskim Orderu Odrodzenia Polski, Krzyżem Zesłańców Sybiru i wieloma innymi. Utrzymuje ożywione kontakty ze środowiskiem byłych zesłańców działających w „Klubie pod baobabem”. Uczestniczył w zjazdach Afrykańczyków w latach 1989–2005. Wielokrotnie odwiedzał również dawne polskie osiedla w Afryce.

Renata Gieszczyńska
Olsztyn

Pierwsze dni okupacji sowieckiej

Przed 1940 rokiem mieszkałem wraz z rodziną w Żytorudzkiej dzielnicy Wołkowyska – dziś miasteczka na terenie Białorusi.

Moi dziadkowie, stryjowie i wujowie, a także mój ojciec, byli legionistami i wielkimi patriotami. Niektórzy polegali podczas wojny w 1920 roku.

W Wołkowysku stacjonowało kilka jednostek wojskowych, a wśród nich słynny pułk strzelców konnych, w którym bardzo chętnie służyła młodzież, w tym też członkowie mojej rodziny. Szefem sztabu przez pewien czas był major Władysław Anders.

Wołkowysk był miastem wielonarodowym, poza Polakami mieszkali Żydzi, rodziny białoruskie, litewskie, a także Tatarzy.

Przed wkroczeniem Armii Czerwonej, mieszkańcy tych terenów, bez względu na narodowość czy wyznanie, żyli obok siebie zgodnie. Jednak zmieniło się to po 17 września 1939 roku, kiedy wielu zaczęło przechodzić do służby sowieckiej, twierdząc, że są komunistami. To właśnie oni sporządzali wykazy rodzin polskich na pierwszą, bardzo tragiczną, ze względu na mróz sięgający około -40°C , wywózkę na Sybir. Władze sowieckie obsadzały tymi „nowymi komunistami” różne stanowiska, nie tylko administracyjne, a jeden z nich, który przedtem był drobnym handlarzem na bazarze, został wizytatorem szkolnym Wołkowyska i okolic.

Pewnego dnia w końcu 1939 r. *wizytator* ten przybył do mojej szkoły. Byłem wtedy uczniem III klasy. Wszedł do klasy w czapce *budionnówce* z gwiazdą, czerwona opaska na ramieniu i długim karabinem na sznurku. Nauczycielka kazała nam wstać. *Wizytator* rozsiadł się w ostatniej ławce i nakazał dalsze prowadzenie lekcji w języku rosyjskim. Nasza pani, pochodząca z Mazowsza czy Kurpiowszczyzny, była przerażona, bowiem prawie nie знаła tego języka. Okazało się jednak, że *wizytator* też języka tego nie znał, a uczniowie, którzy mówili troszkę po białorusku, starali się nauczycielce pomagać. Po pewnym czasie „*wizytator*” pochwalił *chorosio*, *chorosio*, co znaczyć miało „dobrze, dobrze” i wyszedł.

Widziałem go jeszcze raz, kiedy przyprowadził do naszego domu oficera NKWD i *soldatów* w dniu naszej wywózki, ale do mieszkania nie wszedł. Czyżby się wstydził?

Deportacja

10 lutego 1940 roku o godzinie czwartej rano do naszego mieszkania wkroczył młody oficer NKWD i dwóch *soldatów*. Kilku innych i przewodnik pozostali przed domem. Oficer odczytał „wyrok”, z którego wynikało, że za jakieś „przestępstwa” naszej rodziny będziemy wywiezieni, ale nie powiedział dokąd. Kazał szybko się zbierać, a przed domem czekał już wóz. Myślę, że to nie był zły człowiek, ponieważ po cichu mówił do naszego sąsiada, że musimy zabrać dużo odzieży, żywności bo czeka nas daleka podróż.

Na stacji węzłowej Roś stały już bydlęce wagony, do których ładowano po 60–70 osób. Na środku wagonu stał piecyk „koza” i leżało trochę drewna i węgla. Przy drzwiach w podłodze był mały otwór – toaleta. Początkowo starsi, a zwłaszcza kobiety, starali się osłaniać to miejsce kocem lub prześcieradłem, ale w miarę upływu czasu i wyczerpującej podróży już się nie krępowano. Po raz pierwszy otworzono drzwi wagonu po kilku dniach. Mogliśmy wtedy nabrać do naczyń trochę śniegu lub *kipiatku*, a także węgla i drewna. Na kolejnych postojach wynoszono już z wagonów pierwszych zmarłych, głównie dzieci i starców.

Po około miesiącu dotarliśmy do rejonu Plesieck, za Archangielskiem na północy ZSRR. Zamieszkaliśmy w tajdze w *posiołku* Małe Izby, z którego wysiedlono kilka dni wcześniej dotychczasowych mieszkańców: Tatarów i Kałmuków. Zakwaterowano nas po kilka rodzin w jednym pomieszczeniu, w starych, brudnych i zarobaczonych barakach, w których często nie było nawet okien. Były one zbudowane z sosnowych okrągłaków, pomiędzy które wetknięto mech. To pod nim gnieździło się robactwo, głównie pluskwy w ogromnych ilościach, które w nocy gryzły okropnie. Latem zaś dokuczały meszki.

Już następnego dnia wszystkich mężczyzn oraz kobiety, które nie miały małych dzieci, skierowano jako *lesoruby* do pracy w tajdze przez 10 godzin. Dzieci w tym czasie musiały chodzić do 4-klasowej szkoły rosyjskiej, o jedną klasę niżej, bo podobno miał być wyższy poziom nauczania.

Mnie i moją siostrę Kazimierę zakwalifikowano do klasy drugiej. Lekcje wszystkich czterech klas odbywały się w jednym pomieszczeniu i prowadzone były w tym samym czasie przez jedną nauczycielkę. Nauka trwała przez 8 tzw. miesięcy zimowych i w tym czasie dostawaliśmy 250 gramów chleba i kubeczek mącznej zupy – *balbatuchy* dziennie. Taka racja żywnościowa przysługiwała też niepracującym kobietom, a pracujący otrzymywali 400 g chleba. Latem i jesienią dzieci zbierały jagody, borówki, żurawinę i wymieniały je na chleb i ziemniaki.

Przez pozostałe cztery miesiące letnie uczniowie pracowali w tajdze, wykonując często ciężkie prace :obcinanie i noszenie gałęzi, korowanie drzew sosnowych, sianokosy itp.

W naszym baraku mieszkała 8-osobowa, bardzo biedna rodzina Zofii i Stanisława Karpyza, mieszkających wcześniej we wsi Andrusze pow. wołkowyski. Kiedy zapytałem Kazia – mojego rówieśnika – za co ich wywieziono, odpowiedział, że są *kulakami* ponieważ mieli 8 hektarów, 2 krowy, konia i źrebię, trochę trzody i ptactwa. Rodzina ta wymarła z głodu i chorób w drodze do Buchary w Uzbekistanie. Już znacznie później, bo w 1976 r., dowiedziałem się przypadkowo, że rodzina

ta została wywieziona przez pomyłkę – zamiast wyznaczonej do wywózki rodziny osadnika wojskowego Kazimierza Karpyzy.

Były próby ucieczki z *posiołka*, ale udało się to tylko studentowi o nazwisku Bajor, który po paru tygodniach dotarł szczęśliwie do Warszawy. Inni ginęli z zimna, głodu lub rozszarpani przez wilki. Widziałem w tajdze wiele krzyży: katolickich, prawosławnych czy innych symbolicznie zaznaczonych miejsc pochówku.

Blisko naszego *posiołka* było kilka wsi. Ich mieszkańcy byli też bardzo biedni, ale dobrzy i uczciwi, gotowi podzielić się kawałkiem chleba. Byli bardzo pobożni, a kiedy wchodzili do izby, padali na kolana i żegnali się trzykrotnie przed wiszącymi w rogu ikonami. Bywałem tam często, bo za zbieranie chrustu na opał otrzymywałem coś do jedzenia. Przychodziły również Polki z naszego *posiołka*, aby wymienić różne rzeczy na żywność. Wyraźnie okazywali nam współczucie.

W *posiołku* pracowała młoda nauczycielka Raisa Jakowlewna, która stale przebywała w towarzystwie naszych dziewcząt. O to samo zabiegał przystojny i sympatyczny sklepikarz Wania. Starał się przebywać w towarzystwie naszej „kawalerki”. Jedną z Polek, Jadwigę Jastrzębską, w 1941 roku wyszła za mąż za Wanię i jako jedyna pozostała w Małych Izbach, mimo protestów i próśb matki i siostry.

Poznałem również jednego z synów komendanta *posiołka*, mego rówieśnika Aloszę, który był bardzo miłym chłopcem. Kiedyś zaproszony zostałem do ich baraku. Komendanta nie było jeszcze w domu. Matka, która przygotowywała kolację: czarny chleb, trochę słoniny i cebulę, poczęstowała mnie. Jak zobaczyła, że jem bardzo łapczywie, pogłaskała mnie po głowie, mówiąc *biedny malczuk*. Ponieważ był to czas, kiedy wracał z pracy komendant, podziękowałem i szybko uciekłem. W kilka dni później przed ich barakiem rozmawiałem z Aloszą. W tym czasie wyszedł komendant, nie wiedziałem, co robić, ukloniłem się grzecznie, aż tu pułkownik podał mi rękę i zapytał: *kak dzieła, Micia?* Od tego momentu już się nie bałem. Komendant, pochodzący z centralnej Rosji, za popełnione tam „błędy” został skierowany na 5 lat do pracy w tajdze, w naszym *posiołku*.

W baraku szkolnym wisiały portrety przywódców komunistycznych. Często wzytował nas również rejonowy inspektor szkolny, który zawsze pytał, czy wiemy, kim są ci na portretach. Kazał recytować i śpiewać: *tri tankista, cztery maszynista, ekipasz maszyny bajew*. Nauczycielka Raisa była wystraszona, obawiała się bowiem czy dobrze zaśpiewamy. Jak wypadło dobrze, była rozpromieniona, bo inspektor chwalił *matadziec*. Dziewczęta recytowały wiersze o wielkim Stalinie, za co dostawały od inspektora „nagrodę” – kilkanaście cukierków „groszków”. Nas chłopców za śpiew chwalił *gieroje* oraz zapewniał, że w przyszłości będziemy dobrymi *soldatami* niezwyciężonej Armii Czerwonej i obywatelami wielkiego Związku Radzieckiego. A teraz trzeba się uczyć i dobrze pracować, bo wszystko, co robimy, widzi towarzysz Stalin. Biedna Raisa bladła ze strachu, aby któryś z nas nie zaśmiał się lub nie powiedział czegoś niestosownego, bo jako dzieci mieliśmy już własne zdanie, głównie dzięki nędzy, w jakiej tam żyliśmy.

Droga na południe

polskie jednostki wojskowe. Po otrzymaniu tej informacji wielu mężczyzn, a także kobiet, wyjechało, aby wstąpić do wojska polskiego. Wszyscy pozostali mieszkańcy *posiołka* postanowili wyjechać we wrześniu 1941 r. przez Kazachstan do Uzbekistanu, aby znaleźć się bliżej wojska i dostać się pod jego opiekę. Podróż do Bucharu trwała wiele tygodni. Przez pierwszy tydzień na niektórych stacjach otrzymywaliśmy wszyscy po kawałku chleba, supę mączną i *kipiatok*. Ale później nikt nam nie pomagał. Pewnego dnia NKWD aresztowało większość mężczyzn: byłych urzędników państwowych i zawodowych wojskowych, w tym też mego ojca. Jak dowiedziałem się potem, znaleźli się oni w łagrze pod Świerdłowskiem.

W wagonach pozostały kobiety z dziećmi i starcy. Od tego czasu podróż stała się gehenną, nękały nas głód i choroby. Rodziny, które miały jakąś odzież, wymieniały ją na ziemniaki czy buraki i dzięki temu jakoś żyły. Inni, dosłownie całymi rodzinami umierali. Zmarłych pozostawiano na dworcach, tam gdzie zatrzymywał się pociąg. Z kilkuset osób, które wyjechały w dziesięciu wagonach, dotarły pod Bucharę jedynie trzy wagony, a w nich wynędzniali, chorzy i głodni ludzie. Inne wagony były często odczepiane po drodze i ginęły na trasie. Podobno trafiały do Kazachstanu lub Uzbekistanu, a pracujący w kolchozach zostawali tam na zawsze.

Moja rodzina miała szczęście i tę podróż przeżyła. Z Mamą i sześcioro dziećmi (od dwóch do siedemnastu lat) dojechaliśmy do Kizyltopo pod Bucharą. Przewieziono nas do kolchozu w miejscowości Szafrikan. Zamieszkaliśmy w starym, brudnym, rozwalającym się muzułmańskim meczecie, zamienionym na magazyn bawełny. Nie mieliśmy żadnej pracy i nie przydzielono nam żadnych artykułów żywnościowych. Jedliśmy trawę, korzonki, liście i korę z krzewów owocowych. Wiele osób zaczęło chorować na tyfus i krwawą biegunkę. W tak strasznych warunkach mieszkaliśmy trzy miesiące.

Pewnego dnia jedna z Polek, która przebywała w tym samym kolchozie, powiedziała mamie, że ma zamiar opuścić kolchoz i udać się z synem do polskiej placówki wojskowej w Bucharze. Mama moja poprosiła ją, aby zabrała również mnie. Pod placówką w Bucharze nawet przez parę dni koczowały tłumy głodnych i chorych starców, kobiet i dzieci szukających pomocy, ale nie wszyscy tej pomocy i opieki doczekali. Umierali tam masowo z głodu i chorób.

W placówce w ściśle określonych godzinach pracowali odkarmieni, ubrani w mundury angielskie urzędnicy. Każdy z przybywających Polaków powinien otrzymać trochę sucharów i parę kostek cukru.

Ja tej pomocy nie otrzymałem, a tylko wręczono mi karteczkę z napisem *Kermino* – miejsca gdzie organizowano szkołę junaków. Do *Kermino*, oddalonego o kilkaset kilometrów od Bucharu, jechałem różnymi sposobami, najczęściej na stopniach wagonów towarowych. Były wypadki, że kolejarze rosyjscy zrzucali w trakcie jazdy tak podróżujących ludzi, a wielu ginęło lub zostało kalekami. Ja też tak podróżowałem. Raz przykucnąłem na schodach wagonu sanitarnego z rannymi żołnierzami rosyjskimi. Było bardzo zimno, ale trzymałem się dzielnie, ciesząc się, że zbliżam się ciągle do *Kermino*. Nagle usłyszałem, że nade mną ktoś otwiera drzwi wagonu. Zdrętwiałem ze strachu, że zaraz otrzymam kopa i wypadnę z pędzącego pociągu, ale zamiast tego, ten ktoś złapał mnie za długie, zawszone włosy i postawił na korytarzu wewnątrz wagonu. Przede mną stał wysoki rosyjski oficer z ręką na temblaku i przyjaźnie się uśmiechał. Z przedziałów zaczęli wychodzić ranni żołnierze. Oficer

zapytał mnie, kim jestem i dokąd jadę. Powiedziałem, że jestem Polakiem i jadę do polskiego wojska w Kermino. Oficer wesoło powiedział, że jestem ich sprzymierzeńcem, a wszyscy zaczęli się śmiać. Nagle zauważyłem, że jeden z rannych jadł kawał mięsa. Musiałem patrzeć tak błagalnie, że żołnierz ten chciał się ze mną podzielić, ale oficer krzyknął: *durak, on pogibnie*, widzisz, jaki on jest chudy i głodny. Żołnierz przyniósł z przedziału kawałek suchara, za co byłem mu wdzięczny. Oficer powiedział, że nie może mnie zaprosić do przedziału, bo jestem bardzo zawoszony, ale mogę spokojnie jechać na korytarzu. Tak dotarłem do Kermino.

Zostałem junakiem

Do Kermino przybyłem późnym wieczorem. Siedziałem pod nasypem kolejowym, byłem zmarznięty, obdarty i bosi. Kiedy nastała już noc, wkradłem się do sieni lepianki i skuliłem się w kącie na klepisku. Po pewnym czasie usłyszałem, że ktoś stoi nade mną. Spodziewałem się, że zaraz zostanę wyrzucony. Ale ten ktoś oddalił się w głąb pomieszczenia, za chwilę jednak wrócił i przykrył mnie jakimś dywanikiem, w którym wprawdzie było pełno piasku, ale zrobiło się cieplej. O świcie szybko pobiegłem, aby ustawić się w kolejce do komisji lekarskich, które kwalifikowały do wojska i szkół junackich.

Składały się one z trzech osób: lekarza wojskowego, oficera i podoficera pisarza, już w mundurach angielskich. Do komisji oczekiwało się w kolejkach przez wiele godzin, a ja cały czas myślałem, czy dostanę coś do jedzenia, bo byłem już bardzo głodny i słaby, staliśmy bowiem w gołym stepie i w pełnym słońcu.

Po raz pierwszy zostałem odrzucony przez komisję, ponieważ miałem jedenaście lat, a do szkoły przyjmowano od trzynastu. Po pewnym czasie wraz z moim kolegą Heniem dobrnęliśmy do drugiej komisji, gdzie oficer zapytał nas, do której klasy chodziliśmy na Syberii. Powiedzieliśmy, że przeszliśmy do klasy trzeciej i ponownie zostaliśmy odesłani. Po raz trzeci tego dnia, tuż przed zachodem słońca, dobrnęliśmy do komisji, która już kończyła pracę. Na pytanie lekarki, ile mam lat, stanąłem na baczność i powiedziałem po wojskowemu „melduję, że mam trzynaście lat i mój kolega również ma tyle”. Wówczas siedzący przy stoliku oficer w stopniu kapitana zapytał mnie, do której klasy chodziłem na Syberii. Skłamałem, że do czwartej klasy. Kapitan wyczuł kłamstwo. Pani doktor najprawdopodobniej zlitowała się nad nami, bo powiedziała: „panie kapitanie, on chyba nie kłamie, on na pewno ma tyle lat, tylko jest wygłodzony, zabiedzony i obdarty”. Dzięki temu pierwszego marca 1942 r. stałem się junakiem. Miałem wtedy jedenaście lat.

Podoficer przeprowadził nas do dużego namiotu, gdzie na piasku, na brudnych kocach leżało już kilku chłopców starszych i w naszym wieku i to była nasza pierwsza drużyna. Dostaliśmy też po małym sucharku i trochę zbożowej kawy. Była to wielka radość, że w ciepłym namiocie mogliśmy się spokojnie przespać i mogliśmy liczyć na dalsze wyżywienie. Następnego dnia na śniadanie podano nam większą porcję sucharka, po pół kubka kawy i kostce cukru. Przeszliśmy szczegółowe badania lekarskie, ostrzyżono nas, wykąpano i umundurowano w mundury angielskie, najczęściej dwa lub trzy numery za duże. Ale co to była za radość, że przestało nas gryźć wszelkie robactwo.

łyżki zupy i jedna łyżka kaszy z kilkoma małutkimi kawałkami konserwy mięsnej. Następnego dnia rozpoczęło się życie żołnierskie i większe porcje żywnościowe. W mojej szkole junackiej Kermino, a następnie w Narpaju było nas sześć kompanii junaków w wieku od trzynastu do osiemnastu lat. Ja z moim kolegą Heniem znaleźliśmy się w szóstej kompanii dla najmłodszych. Po miesiącu byliśmy odkarmieni i wyleczeni. Przechodziliśmy normalne zajęcia ogólne i wojskowe.

Spaliśmy w dużych namiotach wojskowych na kocach położonych na piasku, a pod głową kładliśmy plecaki. Pobudka była o siódmej rano. Potem gimnastykowaliśmy się i myliśmy się. Każdy junak na wyposażeniu miał: krótkie spodnie, dwie koszule, dwie pary bielizny, furażerkę i wojskowe trzewiki. Dbaliśmy o swoje rzeczy i sami praliśmy swoją bieliznę i mundury. Ze względów higienicznych wojskowi fryzjerzy strzygli nas do gołej skóry. Po porannym myciu śpiewaliśmy „Rotę”, modliliśmy się i dopiero wtedy szliśmy na śniadanie. Początkowo były to wyłącznie suchary i kawa, a potem w miarę poprawy sytuacji dostawaliśmy chleb, kawę z mlekiem, zupę mleczną i kanapki. Po śniadaniu była musztra, nauka o służbie wojskowej i regulaminie służby wewnętrznej oraz język polski. Wielu junaków nie potrafiło poprawnie mówić po polsku. O godzinie trzynastej był obiad. Początkowo były to małe porcje zupy, ale później porcje były coraz większe i jedzenie było bardziej urozmaicone. Po obiedzie mogliśmy odpocząć, a następnie była nauka religii i śpiewu. Uczyliśmy się pieśni patriotycznych. Po kolacji braliśmy udział w zajęciach kulturalnych i sportowych.

Po moim wyrwaniu się z kołchozu i dostaniu się do szkoły junaków, nasza mama nadal szukała ratunku dla pięciorga pozostałych dzieci. Dowiedziała się, że w Bucharze jest organizowany polski sierociniec. Zabrała dwoje starszych dzieci (Kazimierę i Waclawa) i po różnych perypetiach dotarła do Buchary. Po wielu godzinach stania w kolejkach dostała się do budynku. Przy stole siedziała młoda kobieta i prowadziła zapisy dzieci. Niedaleko stała kobieta, podobno kierowniczką sierocińca, która nagle podeszła do stołu i powiedziała „Rózo, koniec zapisów bo nie ma więcej miejsc!”

Nie pomogły błagania mamy, że w kołchozie pozostało jeszcze troje chorych, głodnych dzieci. Wrócili do Szafrikanu gdzie niedługo zmarła sześciolatnia Jadwisia.

Do dziś zadaję pytanie, czy naprawdę nie było miejsc w sierocińcu?

Pewnego dnia maszerowaliśmy z zajęć i nagle usłyszałem, że ktoś mnie woła „Mietek”. Zauważyłem, że wśród ogromnej ilości obdartych i wynędzniałych Polaków, głównie kobiet i dzieci, jest mama z moim rodzeństwem. W pierwszej chwili chciałem się oderwać i biec do mamy, ale szef kompanii natychmiast polecił wrócić do szeregu. W obozie, gdzie stacjonowała moja kompania, powiedziałem kolegom z drużyny, że mam zamiar wymknąć się do mojej rodziny. Zabrałem do menażki moją obiadową kaszę, oddał swoją porcję także kolega, przemknąłem się pod drutami i pobiegłem szukać rodziny. Mama i rodzeństwo byli obdarci i bardzo wynędzniali. Zauważyłem brak jednej z moich sióstr, Jadwisi. Jak dowiedziałem się, Jadwisia zmarła w drodze z kołchozu Szafrikan do Kermino. Mama pogrzebała ją przy drodze w piaskach pustyni.

Następnego dnia przekradłem się do rodziny na stepie. Poprzedniej nocy zmarł mój najmłodszy, wówczas dwuletni brat Staś, którego mama pogrzebała również, w stepie.

Trzeciego dnia ponownie przedarłem się na step, niestety rodziny mojej już tam nie zastałem. Dowiedziałem się od koczujących tam Polaków, że wiele osób przewieziono z powrotem do kolchozów na czas, aż władze sowieckie otworzą granicę w Krasnowodsku i zezwolą na wyjazdy wojska i ludności cywilnej do Persji.

Gościnną Persja

Moja szkoła junacka w pierwszej kolejności razem z wojskiem została przerwana z Krasnowodsku przez Morze Kaspijskie, do Persji. Ta ewakuacja odbywała się w okropnych warunkach. Siedzieliśmy ściśnięci na pokładach brudnych statków towarowych, którymi wcześniej transportowano ropę i węgiel. Panował straszny upał. Wiele osób zmarło wtedy z wycieńczenia, malarii, tyfusu i krwawej biegunki, ponieważ cierpiąc z pragnienia niektórzy manierkami na sznurkach lub pasach czerpali brudną wodę z morza.

W Pahlevi, nad morzem, były przygotowane dla junaków namioty wojskowe, w których zostaliśmy zakwaterowani. Ponownie przeszliśmy badania lekarskie, otrzymaliśmy nowe umundurowanie (poprzednie spalono). W Pahlevi wielu junaków i junaczek pozostało na zawsze na cmentarzu polskim. Tam pozostał też mój kolega Henio z Kermino. Zmarło tam wielu junaków nie tylko z powodu chorób i wycieńczenia. Otrzymaliśmy pierwszy żołąd w perskich tomanach i szajach. Za wzgórzami niedaleko naszego obozu był perski bazar, gdzie można było kupić owoce, warzywa, jaja. Henio powiedział, że zna przejście pod ogrodzeniem obozu. Tym przejściem dostaliśmy się na bazar. Henio kupił pomidory (dziwnie zielone), ja kilkanaście jaj na twardo. W drodze do obozu kolega zjadł połowę tych pomidorów, ja połowę kupionych jaj. Henio w nocy zmarł. Mnie uratowała rycyna, ale do dziś lubię jaja na twardo.

W Pahlevi obóz pierwszy był przeznaczony dla przyjeżdżającej z Rosji ludności cywilnej. Często patrzyłem na statki płynące w kierunku portu Pahlevi. Zatrzymywały się na redzie, do której przyplływały holowniki perskie i zabierały ludzi do pierwszego obozu przejściowego. Tam przechodzili badania lekarskie, otrzymywali czystą odzież, posiłki i po kilku dniach przetrucano ich w kierunku Teheranu, gdzie były zorganizowane specjalne obozy dla ludności cywilnej, a następnie przewożono ich do Karaczi, Bombaju w Indiach lub bezpośrednio do Afryki. Drogę z Persji do Indii z dziećmi sierotami odbyła też Hanka Ordonówna.

W Pahlevi nie wolno nam było kontaktować się z ludnością cywilną ze względu na choroby i robactwo. Jednak ciągle myślałem, że może przyplynie moja rodzina. Różnymi sposobami starałem się dotrzeć do portu z myślą, że odnajdę moich bliskich. Raz przekradając się brzegiem morza tylko w bieliźnie wojskowej omal nie utonąłem. Pewnego dnia spostrzegłem w tłumie naszych moją mamę. Była strasznie wynędzniała, obdarta i chora. Była sama. Zapytałem mamę gdzie są moje siostry i brat. Z ogromnym wysiłkiem poinformowała, że brat Wacław i siostra Leonarda nie żyją. Brat zmarł w kolchozie, siostra podobno zmarła w szpitaliku kolchozowym, chorując na tyfus. Brudny jakiś sanitariusz czy felczer poinformował mamę, że siostra nasza w nocy ~~padła i nie żyje~~.

wynosić się natychmiast. Mimo różnych starań niczego się nie dowiedziała. Mama została sama. To straszne wspomnienia, nie da się ich wymazać z pamięci.

Dowiedziałem się, że siostra Kazimiera dostała się do szkoły junaczek w Karkin Batasz, po uzbecku „Dolina śmierci”, ponieważ była to najbardziej malaryczna miejscowość w całym Uzbekistanie.

Następnego dnia ponownie udało mi się dostać do obozu pierwszego, ale mamy tam już nie zastałem. Została przewieziona do Teheranu. Myślałem, co się dzieje z moją siostrą junaczką. Dowiedziałem się od szefa kompanii, że o kilka obozów dalej nad Morzem Kaspijskim stacjonuje szkoła junaczek. Postanowiłem ją odszukać. W niedzielę, kiedy mieliśmy wolny czas od zajęć, otrzymałem zgodę szefa kompanii na odszukanie obozu junaczek. Przechodząc między namiotami tego obozu, nagle usłyszałem głos mojej siostry. Opowiedziała mi, że kiedy z Kermino powysyłano chorych i głodnych ludzi z powrotem do kolchozów, ona szczęśliwie dostała się do szkoły junackiej w Karkin-Batasz. Junaczki zaczęły tam chorować na żółtą febrę i masowo umierać. W pomieszczeniu, gdzie mieszkało osiemnaście dziewcząt, większość zmarła. Kazimierę, nieprzytomną (sanitariusze stwierdzili, że nie żyje), przeniesiono do pomieszczenia dla zmarłych, skąd następnie wywożono ich na pustynię, gdzie zakopywano we wspólnym grobie-dole. Szczęśliwie pielęgniarka, pani Zajączkowska, zauważyła, że siostra jeszcze żyje. Dołączono ją do grupy i przeniesiono do miejscowości Guzary.

Po kilku tygodniach szkołę junaków i junaczek wraz z innymi jednostkami wojskowymi przerzucono pod Teheran. Tam dokonano tzw. selekcji obu szkół junackich. Starsze junaczki przydzielono do Polskich Służb Pomocniczych, natomiast starszych junaków skierowano do szkół kadeckich w Palestynie i Libanie. Wielu zginęło pod Monte Cassino. W Teheranie większość z nas była bierzowana przez biskupa polowego Józefa Gawlinę. Z Teheranu przerzucono młodszych junaków i junaczki do Isfahanu. Kompanię moją zakwaterowano w piętnastym zakładzie, gdzie mieliśmy dobre warunki. Mieszkaliśmy w budynku pałacowym, oddanym przez właściciela na czas naszego pobytu, z dużym, pięknie utrzymanym ogrodem. W Isfahanie dosłownie wszyscy, łącznie z opiekunami, przeszliśmy straszne choroby – świerzb i czyraki. Na całym ciele mieliśmy rany od ciągłego drapania się, nawet we śnie. Podobno choroby te wychodziły z nas po przebytej nędzy w Rosji.

Dowódcą szkoły junackiej był bardzo dobry, ale wymagający, porucznik Stefan Józwa, a nauczycielką podporucznik Olga Zasadowiczowa. W Isfahanie otrzymałem świadectwo ukończenia IV klasy szkoły powszechnej (do dziś mam to świadectwo). W szkole junaków w Pahlevi odwiedził nas Naczelnny Wódz generał Władysław Sikorski i generał Władysław Anders. Generał Sikorski rozmawiał z nami bardzo serdecznie, pytał czy wiemy gdzie są nasi rodzice. Natomiast generał Anders traktował nas bardzo po żołniersku, pozdrowił nas „czołem junacy” i przechodził dalej. Wówczas jako trzynastoletni chłopiec (a naprawdę jedenstoletni) nie rozumiałem, że właśnie w ten sposób wychowywano i przygotowywano nas do twardej służby wojskowej, chociaż my po pobycie w ZSRR już byliśmy dość twardzi. Od najmłodszych lat przygotowywani byliśmy do przyszłej służby zawodowej w wojsku. Ja, jako najstarszy w rodzie płci męskiej, od dziecka przysposabiany byłem, głównie przez dziadka Jerzego w jego posiadłości Pożarki, do przyszłej służby w kawalerii. Już w wieku 5 lat sadzano mnie na „Sokoła” konia kawalerskiego, na

widok czego mama i babcia Emilka prawie mdlały ze strachu. Parę razy spadłem z siodła i chociaż trochę się potłukłem, miałem już zakodowane, że kawalerzysta nigdy nie płacze. Przyznaję się, że wiele razy potem płakałem, zwłaszcza po stracie rodzeństwa.

W Kermino, a następnie w Pahlevi i Teheranie szefem mojej 6 kompanii junackiej był sierżant podchorąży, bardzo dobry dla nas opiekun i wychowawca. Kiedy prowadził kompanię z zajęć i przechodziliśmy w pobliżu namiotów wojska, szef wydawał komendę „śpiew”, a my jak najgłośniej śpiewaliśmy „napisz do ojca, napisz do matki, napisz do lubej dziewczyny, że ostra kula pierś mu przeszyła, o w pół do drugiej godziny”. Z namiotów wychodzili żołnierze podoficerowie, oficerowie, salutowali i oklaskiwali dzielnych „młodych wojowników”. Na pewno mieli „duży ubaw”, ale nie chcieli nas urazić.

Wiem, że kochali nas, bo niejeden z nich stracił na Syberii, w Kazachstanie czy Uzbekistanie własne dzieci, a może i całą rodzinę.

W kompani byli nie tylko Polacy, ale też Litwini, Białorusini, Ukraińcy, Żydzi, na nawet jeden Rosjanin, który przybrał nazwisko Kwiatkowski. Było też dwóch polskich Tatarów. Szef – patriota wymagał od nas miłości do Polski, nakazał nam zapamiętać, że Polska nigdy nie zginie z mapy Europy.

Kiedy wchodziło się do namiotu kadry, każdy najpierw meldował się zgodnie z obowiązującym regulaminem, a zaraz potem szef pytał „kto ty jesteś”, a junak odpowiadał „Polak mały”. Szef był bardzo zadowolony.

Dużą uwagę przywiązywano również do tego, abyśmy nadrobili zaległości w nauce. Odbywały się zajęcia z języka polskiego, historii, geografii, przyrody i religii. Na zajęcia chodziliśmy chętnie, Ponikwą były one prowadzone bardzo ciekawie przez oficerów, często byłych nauczycieli. Nie było odpytywania, w większości słuchaliśmy wykładów naszych nauczycieli i często nawet nie było na czym, i czym pisać. Mieliśmy też więcej odzieży, a coraz lepsze posiłki powodowały, że wyglądaliśmy coraz lepiej.

Opowiadaliśmy naszym opiekunom o naszych przeżyciach w Rosji, Kazachstanie i Uzbekistanie. Opiekunowie, znając nasze tragedie rodzinne, pocieszali nas, że najpierw wygramy wojnę, a potem odnajdziemy naszych najbliższych, jeśli jeszcze żyją. Ja do dziś poszukuję mojej wówczas siedemnastoletniej siostry Leonardy, która zaginęła (czy zmarła) w miejscowości Szafrikan k/Buchary.

Unia Południowej Afryki

Na początku 1943 roku przeniesieni zostaliśmy z Isfahanu w Persji do Oudtshoorn w Unii Południowej Afryki. Przybyło tam nas około 500 chłopców i dziewcząt, głównie junaków i junaczek oraz 50 osób kadry. Tam znalazła się moja siostra Kazimiera, też junaczka. W Oudtshoorn przydzielono nam część angielskiego wojskowego ośrodka dla celów szkoleniowych, gdzie przebywaliśmy aż do zakończenia wojny. Warunki bytowe i szkoleniowe były doskonałe. Warunki bytowe i szkoleniowe były doskonałe. Nie było tam chorób, które nas wcześniej dziesiątkowały. Wspaniałe wyżywienie i klimat oraz troskliwa opieka powodowały, że w pełni wracaliśmy do zdrowia. W ośrodku...

i obiekty sportowe. Często odbywały się spotkania z angielską młodzieżą szkolną, wojskową, skautami.

Zajęcia wynikające z programu wojskowego oraz kultury fizycznej prowadzili wojskowi instruktorzy. Często organizowano wycieczki krajoznawcze do bardzo ciekawych miejscowości i obiektów.

W Oudtshoorn odzyskiwaliśmy nie tylko zdrowie, ale nadrabialiśmy program szkolny. To już była prawdziwa szkoła. Były podręczniki przysłane z Palestyny, zeszyty, ołówki, pióra. Nauczyciele wzywali nas do tablicy i szczególnie wojskowi wprowadzili rygor. Starano się nam zapewnić ciepłą i rodzinną atmosferę, szczególnie w czasie świąt. Obchodziliśmy uroczystości również święta narodowe.

Tam w lipcu 1943 roku dotarła do nas wiadomość o tragicznej śmierci generała Sikorskiego. Wszyscy bardzo to przeżyliśmy, pamiętając, że dzięki Niemu wydostaliśmy się z piekła sowieckiej *własti*.

Mieliśmy bardzo dobrych, oddanych, ale wymagających wychowawców, a zwłaszcza oddelegowanych z wojska oficerów. Jednym z najgroźniejszych był kapelan kpt. Józef Czerniecki, który karał nas tęgą. Wysportowany, przed którym żadna ucieczka nie była możliwa. Poznałem to na własnej skórze, bo otrzymałem raz najwyższy wymiar kary – 10 trzcinek oficerskich na goły tyłek, za to, że zamiast na modlitwę w kaplicy obozowej, poszedłem na boisko piłkarskie, a poza tym za pyskowanie. Dziś wspominam to z dużym sentymentem i przy każdym spotkaniu towarzyskim czy rodzinnym opowiadam o otrzymanym „wyroku”.

Inną bardzo groźną postacią w Oudtshoorn był ks. Franciszek Kubieński. Wielkie chłopisko, stale wieczorami wizytował do późna teren obozu, trzymając w ręku sękatą łagę, z której bardzo często korzystał, ponieważ wśród nas było wiele grup łobuzów, do których i ja się zaliczałem. Było wielu innych wychowawców, których do dziś bardzo mile wspominam, jak por. Stanisław Bielski, który czuwał nad naszym, zwłaszcza żołnierskim, wychowaniem oraz nad „wysoką kulturą”, Stanisław Bieliński, czy też pani Helena Krzeszowska (szefowa żywienia), która bardzo często ratowała nas, łobuzów, przed groźniejszymi „wyrokami”. Mieliśmy też i różne wesołe przygody. Koło baraku rosły krzewy rycynusów. Myśleliśmy, że są to orzeszki. Nie trudno się domyślać, jaki był skutek ...

Około 10 kilometrów od obozu była duża ferma strusi, toteż któregoś wolnego dnia wybraliśmy się w kilku po jaja. Dla sprawdzenia, czy w piasku są jaja, delegowaliśmy naszego kolegę Witka P. Nagle dominujący struś zaczął atakować intruza. Witek uciekał i bardzo szybko znalazł się po drugiej stronie ogrodzenia dzięki otrzymanemu od strusia kopniakowi. Więcej nie wybieraliśmy się tam.

W Oudtshoorn postanowiłem oderwać się od grupy łobuzów i przejść do grupy „kulturalnej”. Najpierw zgłosiłem się do zespołu chóru chłopięcego, ale bardzo szybko pan kapelmistrz odkrył, że nie mam słuchu. Jedną z pań nauczycielek przygotowywała przedstawienie pt. „Powrót taty”, a ja tym razem zapragnąłem zostać aktorem, tzn. zagrać rolę herszta zbójców. W dniu przedstawienia w YMCE przyklejono mi wąsy i brodę jakimś bardzo cuchnącym klejem. Wszedłem na scenę i wygłosiłem swoją kwestię „pierwszy bym strzaskał pałkę na twojej głowie, gdyby nie dziątek pacierze”. To był znów koniec moich osiągnięć artystycznych. Wróciłem do grupy łobuzów, bo tylko tam mogłem się wykazać wszelkimi innymi osiągnięciami.

Obóz położony był na przedmieściu za rzeką, do miasta przechodziło się mostem wiszącym. Z drugiej strony był poligon ćwiczebny, gdzie znajdowaliśmy różne niewypały i często zdarzały się poważne wypadki.

Afryka Wschodnia

W 1945 roku wezwano nas z siostrą Kazimierą do biura komendy obozu i poinformowano, że nasza mama po pobycie w Karaczi i Bombaju znajduje się w osiedlu polskim Tengeru w Tanganice. Toteż niedługo po odbyciu kwarantanny w Makindu, na granicy parku narodowego nastąpiło spotkanie. Spotkaliśmy naszą mamę.

W Makindu przeżyłem bardzo dużo niezapomnianych przygód. Zaraz po przyjeździe do obozu nie udałem się jak inni na wypoczynek, ale zacząłem penetrować teren. Idąc ścieżką przez wysoką trawę słoniową, doszedłem do ładnego białego parterowego domku. Zauważyłem otwarte okno, zajrzałem do środka. Zobaczyłem dużo różnej broni palnej, maczety i noże. Nagle poczułem czyjaś rękę na swoim ramieniu, odskoczyłem i zobaczyłem potężnego człowieka, który coś mówił po angielsku. Był to pułkownik – komendant naszego obozu kwarantanny, szef murzyńskich „ascari” – policjantów i służby parku. Wytłumaczyłem się przed pułkownikiem, że nie chciałem zrobić nic złego, a tylko podziwiałem zbiór broni, której jeszcze nigdy nie widziałem. Z tą chwilą wkradłem się w łaski wielkiego myśliwego. Jeździłem z nim na polowania. Całą jedną noc spędziłem na tzw. ambonie, na ogromnym baobabie nad wodopojem, gdzie zobaczyłem nieopisane widoki. Przed zachodem słońca zwierzęta całymi stadami przychodziły nad jeziorko. Piły wodę zgodnie obok siebie. Dopiero po zapadnięciu zmierzchu słychać było kwik, ryczenie, beczenie, to drapieżniki szykowały sobie pożywienie.

Z Oudtshoorn do Tengeru przyjechało około 50 młodych ludzi, których matki były też w tym osiedlu: Władysław Czerw, Mieczysław Królewicz, Józef i Władysław Cisakowie, Zbigniew Marchut, Czesław i Marian Konieczny, Leon Popławski, Adam Poradowski, Edward Woś, Kazimiera i Mieczysław Pożarscy.

Tengeru było największym osiedlem polskim w Afryce. Mieszkało tam około 5 tysięcy ludzi, katolików, prawosławnych, Żydów i kilka rodzin polskich Tatarów spod Białegostoku i Wołynia. W Afryce były 22 obozy z około 20 tysiącami Polaków, głównie matki z dziećmi i sieroty, których ojcowie tych dzieci najczęściej poginęli w łagrach sowieckich, a matki zmarły z głodu i chorób w kołchozach na Syberii, w Kazachstanie i Uzbekistanie.

W osiedlach zorganizowane były szkoły powszechne, gimnazja i w większych osiedlach – licea. W Tengeru były gimnazja ogólnokształcące, kupieckie, krawieckie, techniczno-mechaniczne oraz szkoła muzyczna, rolnicza i liceum. Dobrze działało harcerstwo pod komendą Zdzisławy Wójcik, były świetlice sodalicii mariańskiej, klub „YMCA”, zespoły artystyczne i sportowe. Był też teatr osiedlowy i boiska sportowe, korty tenisowe, plaża oraz szpital i przychodnie lekarskie.

Wybudowano kościół katolicki, cerkiew i bożnicę. Współżycie mieszkańców było bardzo zgodne. Osiedle było podzielone na grupy, na czele których stali kie-

Było osiedlowe gospodarstwo hodowlane, gospodarstwo ogrodnicze, gdzie pracowały głównie kobiety. Rano budziły nas tam-tamy z pobliskich wiosek murzyńskich. Proboszczem kościoła katolickiego był mój kapelan junacki jeszcze z Kermino, Pahlevi i Teheranu, kpt Cezary Rogiński, bardzo groźny wychowawca. Wieczorami gonił bezlitośnie pary zakochanej młodzieży, w tym często i mnie z moją sympatią Lodką Kaczorowską. Bardziej baliśmy się księdza kapelana niż innych wychowawców.

W Tengeru mieszkaliśmy w małych, okrągłych, glinianych domkach, krytych palmowymi liśćmi, z małym otworem okiennym z siatką. Nasz domek stał blisko kościoła, a najbliższy domek należał do pani Bujnickiej – kierowniczkii YMCA i jej córki Ani.

W domkach były drewniane łóżka z materacami z trawy, w których gnieździło się różne robactwo, a często znajdowało się i węże. Nad łózkami były zawieszone moskitiery, był mały stolik, taborety, wiadro, miednica i latarnia naftowa. Przy każdym domku były małe ogródki, w których przez cały okrągły rok rosły przepiękne kwiaty głównie róże. Rosły też różne krzewy na których siedziały kameleony polujące na owady.

W świetlicy sodalicii oraz na kortach tenisowych odbywały się często wieczorki taneczne dla młodzieży szkolnej pod okiem siostr zakonnych, księży i nauczycieli. Natomiast w klubie „YMCA” odbywały się dancingi dla dorosłych, często z udziałem Anglików i Greków. Młodzież szkolna nie miała tam wstępu. W końcu 1947 roku nam, trochę starszym, pozwolono uczestniczyć w tych imprezach

W Tengeru dyrektorem mego gimnazjum był delegowany z wojska pan Feliks Dudczak bardzo wymagający, lubiący dyscyplinę i porządek. Woźnym był był kawalerzysta wachmistrz Kiszka, o pięknych, sumiastych wąsach i złotym sercu. Jeśli coś poważnego przeszkrobało się i groziło stawianie się przed obliczem dyrektora Dudczaka, to najpierw pokornie meldowało się u pana wachmistrza. Jak się zwracało „panie sierżancie”, zamiast „wachmistrzu”, sprawa była przegrana, a jeśli meldowało się „panie wachmistrzu”, było się ochrzanianym, odpowiednio pouczonym i już po sprawie. Muszę się przyznać, że często stawałem przed obliczem pana wachmistrza.

Mieliśmy dobry zespół piłkarski. Uczestniczyliśmy w rozgrywkach o puchar Komendanta Osiedla, pułkownika Minnorego. W spotkaniach regularnie uczestniczyły drużyny: angielska, hinduska, grecka oraz drużyna składała się z 10 Murzynów i 1 Anglika (był kapitanem). Na spotkanie piłkarskie w Arusha i Moshi przychodzili licznie Murzyni z różnych szczepów, a Masaje przybywali pełnym rynsztunku wojownika, z dzidami, łukami, pangami, fimbami, tarczami, pomalowani na barwy bojowe. Kibicowali wspaniale i bardzo obiektywnie. Zawsze kiedy graliśmy z Anglikami lub Hindusami, skandowali *Polanda, Polanda cieza mzuri ampira* (dobrze gracie w piłkę). Kiedy zwyciężaliśmy, podskakiwali, bębnilili i wołali *mzuri, mzuri Polanda*. Jeśli przegraliśmy spotkanie, pocieszali *akuna matata* (nie ma problemu).

Trenerami naszej drużyny byli panowie Lutyk i Czostyrko, oddelegowani z wojska. Pan Czostyrko był jednocześnie nauczycielem języka angielskiego w moim gimnazjum. Dobrym szkoleniowcem i bardzo wymagającym na treningach i spotkaniach był pan Lutyk.

Podstawową drużynę piłkarską tworzyli: Mirek Krążyński, Henio Filipowski, Stasio Woś, Janek Dudek, Mietek Pożarski, Kazio Reda, Felek Boryń, Jan Krupa, Jan Fedorowicz, Janek Skalski i Janek Jasko.

Jedno spotkanie rozegrane w Arusha do dziś pamiętam. Drużyna Murzynów dołożyła nam 5:1, grając boso z obandażowanymi tylko kostkami nóg.

Młodość należała do różnych kół zainteresowań. Był zespół teatralny, chór i orkiestra dęta. W 1946 roku jeszcze raz spróbowałem kariery muzycznej i starałem się dostać do orkiestry. Ponieważ nie miałem słuchu, dodatkowo zepsułem puzon, na którym miałem ćwiczyć, toteż zostałem z hukiem wydalony przez kapelmistrza, pana Bojnara. W roku 1947 postanowiłem wraz z innymi kolegami „łobuzami” dostać się do wstępnego seminarium duchownego w Tengeru, a następnie wyjechać do Chicago. Ponieważ ksiądz Śliwowski zażądał zgody rodziców, zwróciłem się do mamy, która z miejsca oświadczyła, że nie wierzy, aby jej syn został kapłanem i nie wyrazi zgody, bo nie chce brać na siebie grzechu. Taka była moja mama i przede wszystkim dzięki Niej wydostaliśmy się z kołchozów Uzbekistanie i do dziś żyjemy.

Na przełomie lat 1946/1947 dotarły do nas wiadomości, że polskie osiedla będą likwidowane i należy się zdecydować, czy wracać do Polski, czy na emigrację do proponowanych krajów zachodnich. Ludzie wpadali w rozpacz. Co robić? Przecież ich domy znalazły się w granicach ZSRR. Obawiano się ponownej deportacji w głąb Rosji, bo takie sygnały docierały do obozów w Afryce. Wiele starszych osób popadło w ogromną rozpacz i pozostało na cmentarzach Afryki na zawsze.

My, dzięki temu, że nasz Ojciec po wydostaniu się z łagru przebył szlak bojowy Lenino–Berlin, wrócił szczęśliwie z pułkiem praskim do kraju i w końcu 1947 r. odnalazł nas przez Polski Czerwony Krzyż, mieliśmy gdzie wracać.

Powrót do kraju

W 1948 roku z Mombasy w Kenii rozpoczęliśmy powrót do Polski. Wypłynęliśmy w grupie kilkudziesięciu osób do Włoch. W Genui zakwaterowano nas w starych, towarowych wagonach. Spaliśmy na kocach położonych na podłodze. Po kilkunastu dniach przybył z Polski pociąg, którym przez Austrię i Czechosłowację, pod nadzorem funkcjonariuszy Urzędu Bezpieczeństwa 31 marca 1948 r. przekroczyliśmy punkt graniczny w Międzyzlesiu. Następnie przewieziono nas do Dziedzic i zostaliśmy zakwaterowani w drewnianych, obozowych barakach. Obóz był ogrodzony drutem kolczastym i stale nadzorowany przez UB. Wszystkich mężczyzn wzywano na przesłuchania. Wypytywano o kontakty z przedstawicielami Rządu Polskiego w Londynie. Po przesłuchaniu otrzymywaliśmy dokumenty, na podstawie których mogliśmy udać się do rodziny lub przez 14 dni poszukiwać nowego miejsca osiedlenia.

Po przybyciu do kraju przez pewien czas mieszkaliśmy w Warszawie, a z chwilą przeniesienia Ojca do Garnizonu Ostródzkiego – w 1949 r. zamieszkaliśmy tam na stałe. Ja w związku z nakazem pracy w roku 1953 znalazłem się w Olsztynie na Warmii.

Aż do 1956 roku wzywano mnie na rozmowy do Urzędu Bezpieczeństwa i za każdym razem zadawano pytanie, dlaczego wróciłem dopiero w 1948 roku i czy

w Afryce lub Włoszech miałem kontakty z Anglikami. Za każdym razem kazano mi pisać życiorys. Miałem wiele kłopotów w szkole i potem w pracy. Nie miano do mnie przekonania i zaufania głównie ze strony tzw. aktywu ZMP. Ratowało mnie tylko to, że byłem sportowcem, potem działaczem sportowym, a poza tym, że zawsze byłem koleżeński i kontaktowy.